

LEO LIPSKI

NIESPOKOJNI

Leo Lipski

Niespokojni

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843970

Niespokojni:

Аннотация

Powieść mająca charakter częściowo autobiograficzny, wyrosła z zainteresowania autora psychoanalizą okresu dorastania i dojrzewania. Lipski zaczął ją pisać przed wojną, jako młody człowiek wychowujący się i studiujący w Krakowie. Po wojnie, w której utracił całą rodzinę, mieszkając już w odległym Izraelu, zrekonstruował utwór, tworząc z niego jednocześnie przetworzony w literaturę obraz utraconych młodzieńczych przyjaźni i miłości. Wrażliwi, uzdolnieni nastolatki, osamotnieni w rodzinie i niecierpliwie pragnący przekroczyć granice niedojrzałości, wejść w dorosłe życie, chłoną książki, dyskutują, upajają się muzyką. Przeżywają szaloną miłość i zgłębiają własną biologiczność, co prowadzi ich do pierwszych doświadczeń erotycznych. Niespokojni to powieść napisana niełatwym dla odbiorcy stylem, krótkimi, luźno połączonymi zdaniami, z pourywanymi dialogami, to proza poetycka, a jednocześnie zmysłowa, nieunikająca naturalizmu i drastyczności, z poszarpaną narracją, przeskakującą z wątku na wątek. Skonstruowana zgodnie z tym, co stwierdza autor w powieści: prawdy, a szczególnie prawdy trudnej, bolesnej nie da się opowiedzieć w sposób uładzony i efektowny.

Содержание

Św. Paweł	5
Joanna I	11
Drogi donikał	14
Obcy zapach	35
Mały Emil	47
Joanna II	63
Université Perverse	66
Конец ознакомительного фрагмента.	69

Leo Lipski

Niespokojni

*Prawie wszystkie prototypy osób, występujących
w tej książce, zginęły.
Typy – nie istnieją.
Może to i lepiej.*

...Jest czas obłapiania...

Koh 3, 5

*Wiem, że wielu ludzi powie,
iż książka ta jest bezużyteczna,
a będą to ci, o których Demetriusz
rzekł, że nie więcej zważa na wiatry
wywołujące w ich ustach słowa niż
na wiatry wychodzące tyłem...*

Leonardo

Św. Paweł

Czarna burza krąży jak jastrząb nad miastem; uderza skrzydłami o domy, o niebo. Niech rozniesie to wszystko; mnie też.

Mój współlokator i jego gość grają w karty. Ludzie nauczyli się zabijać swój czas, to znaczy zabijać życie. I zabijają go na wiele sprytnych sposobów.

Męczą się, pracując z wywieszonym językiem, i myślą, że pracują po to, by go mieć, by nim dysponować. A gdy go mają w końcu, okazuje się, że są już samą pracą; niczym więcej; samym wysiłkiem. I bawią się w zabijanie czasu.

Burza toczy się nad nami. Błyskawice rozrywają chmury o płonących wnętrzach. Siedzę w kącie. Przez okno leje się woda i kapie na mnie. Oni nie przestają mówić o tym, ile kosztuje marmolada, co jedli na kolację, ile numerów robili, gdy byli w moim wieku i inne rzeczy. Są uprzejmi nawet wobec mnie: to jest najgorsze. Męczą ich tylko hemoroidy.

Siedzę więc w kącie na łóżku, jak osaczony kot. Zamykam oczy. Wchodzi Marta, spokojna duża dziewczyna, która – nim się to wszystko zaczęło – mieszkała w tym mieście, co ja. Siada na moim łóżku i siedzi. Nic mnie ona nie obchodzi, ale teraz, gdy nie lubię nikogo, obmazuję ją przygodnie uczuciami, które sączą się ze mnie jak śluz, lepkie, umizgujące się jak stara kokota; przebieram je w nonszalancję i wyciskam poza siebie. Muszę.

Wiatr wieje od morza, drzewa rzucają głowami. Bełkoć coś do siebie i mówię na koniec:

– *Finish*¹.

Ona śmieje się.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Perskie kokoty², gdy były bardzo zajęte – wiesz? – pytały amerykańskich żołnierzy: „*Finish Johny?*”.

Milczy chwilę.

Zaczęło mi się przewracać w głowie, patrzyłem poza nią, za okno, miałem półotwarte usta.

– Przypominasz mi lalkę, którą miałam, gdy byłam mała. Miała rozbitą głowę. Spałam z nią zawsze, mimo że miałam ładniejsze.

Zawołała:

– Słyszysz, jesteś lalką z rozbitą głową!

Ci przy kartach zaczynają się podniecać i krzyczeć. Mówię:

– Rzuć im coś w łeb. Flaszkę. Szkoda, że tu w hotelu nie ma nocników.

Kładzie się na łóżko i pyta półserio, ostrożnie:

– Mogę cię pomacać trochę?

Nie mam na to ochoty, ona wie o tym. Ale dziś jest trochę pijana, sześć koniaków. Mówi:

– Proszę cię, pocałuj mnie.

Kiwam głową, że nie. Uparła się. Wygląda jak gdyby

¹ *finish* (ang.) – koniec; kończyć. [przypis edytorski]

² *kokota* (daw.) – prostytutka. [przypis edytorski]

zwariowała. Burza mruczy, zaraz usnie. Deszcz nie pada.
Bełkoce cicho:

– Muszę teraz iść. Umówiłem się. Pa.

Kłamię. Nie umówiłem się. Muszę iść. To jest nieokreślone, ale pewne.

Miasto jest ciemne, zaciemnione. Światła pełzają ostrożnie po jezdniach, jak ameby. To jest znowu nieznanie miasto i obcy zapach. Znajomy jest wiatr, woń zgniłych ryb, wodorostów i muszli... Tu są bulwary, tu chodzą dziwki.

Włóczenie się jest czynnością rytualną, prastarą jak miasta i kurwy, które na Forum Romanum odciskały drewnianymi pantoflami, jak pieczętkami, na kamiennych taflach napisy: „Chodź do mnie”, a w Berlinie tatuowały sobie na wewnętrznej stronie ud: „*Immer hinein*”³ i strzałkę.

Włóczenie się w niepokoju ulicami, które odpoczywają, jest rzeczą dobrą, prawie religijną. Najlepiej wieczorem, po deszczu, kiedy czujesz to, co się dzieje w zamkniętych domach i oglądasz zataczające się latarnie, cienie sobowtórów na ścianach; zresztą sam jesteś cieniem. To stara i pewna recepta.

Ciemność i morze gotują się. A to siedzi we mnie. Nie można tego wypluć. Łażę wzdłuż bulwarów, ale nie pomaga. Zwierzę, któremu utkwiała strzała w grzbiecie; tarza się, biega, ryczy, pluje, krew zalewa mu oczy; strzała tkwi. Nie ma ludzi i nikt nie wyciągnie strzały. Każdy z nas jest zamknięty we własnej nocy, sam.

³ *Immer hinein* (niem.) – Zawsze do środka. [przypis edytorski]

Słyszę, jak czas przepływa za plecami, jak gdybym leżał nad brzegiem rzeki. Kobiety w moim wieku są coraz starsze. Gniję pomalą. Wyciekam z siebie powoli, zostaje miękka skorupa, zdeformowany kształt. Jem przeszłość, jak gdybym jadł własny kał, przeżuwać ją ciągle na nowo i znów od początku. To jak łykanie śliny, gdy się chce pić.

Nienawidzę dnia, złego snu, gdy zanurzam się w noc jak w wodę, w której pływa księżyc i spleźnione twarze sprzed siedmiu lat. Dziewczęta mają wargi zimne i mokre i oczy wyblakłe jak na starych fotografiach. W ich włosach rosną wodorosty, w granatowej, połyskującej wodzie falują ich odbarwione ciała, z wody wychodzi mokry księżyc, metalowy żółt.

Wracam do domu.

Chodzę po pokoju i udaję, że nie wiem, o co chodzi. Ale gdy widzę papier, dostaję mdłości i słyszę, że jest we mnie cicho jak w trupiarni... Na szybie odciskam swoje wargi, jak dawniej.

Tak jak zawsze, odkąd zaczęła się ta historia, wojna, nie mogę wymiotować na papier i męczy mnie to. Zęby szczękają mi z obrzydzenia, z podniecenia. Przechodzić wytartą, oślinioną drogę Odysei. Tysiącami mówią, sepleniąc, ślimacząc się, wyciskają uroczyście swoje męki, jak węgry, swoje nienawiści i zły los.

Obrazy leżą we mnie zastygłe, wyschnięte jak rośliny w zielniku, jak piersi starej kobiety. Oglupiały jestem od luminalu, bromu, chloralu. Trupy leżą na drodze, która mnie od nich dzieli, jak progi kolejowe. Wojna: kłęb rodzących się dróg, które rosną,

schodzą się, rozlatują nieobliczalnie, niespodziewanie, mimo to prawidłowo i nieuchronnie. Busoni⁴ na wydaniu Bacha⁵, które miałem w domu, na końcu przedmowy napisał: „*New York im dritten Jahre der Kriegsflucht*”⁶. Zaczynam to rozumieć.

Papier jest beczelnie biały. Chodzę koło niego jak pies dookoła suki. Krążę uparcie. Próbuję zejść z jednej strony, z drugiej. Ściany pochylają się nade mną i wyginają, jak widziane przez wodę. Oglądam w lustrze wygniecioną twarz, która już dawno przestała być moją twarzą.

Siadam. Mówię:

– Nie bądź wariatem. Proszę cię. Spokój.

Otwieram książkę. To Nowy Testament. Czytam św. Pawła list „Do Rzymian”: pogański.

Alem grzechu nie poznał, jeno przez Zakon⁷; bo nie wiedziałbym o pożądliwości, gdyby Zakon nie mówił: „Nie będziesz pożądał”. Lecz grzech, wzięwszy podniętę z przykazania, sprawił we mnie wszelką pożądliwość. Albowiem bez Zakonu grzech byłby martwy. I żyłem niegdyś bez Zakonu. Lecz gdy przyszło przykazanie, grzech ożył, a ja umarłem; i okazało się, że przykazanie, które

⁴ *Busoni, Ferruccio* (1866–1924) – włoski kompozytor, pianista i dyrygent, znany gł. jako wirtuoz i autor fortepianowych aranżacji muzyki Bacha. [przypis edytorski]

⁵ *Bach, Johann Sebastian* (1685–1750) – wybitny niem. kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

⁶ *New York im dritten Jahre der Kriegsflucht* (niem.) – Nowy Jork w trzecim roku fugi wojennej. [przypis edytorski]

⁷ *zakon* (daw.) – prawo. [przypis edytorski]

miało być ku żywotowi, stało się śmiercią.

Nie ma dla mnie grzechu, nie ma dla mnie Zakonu i nie on mnie zabił. Ale coś poruszyło się we mnie, niby nieznacznie. Związek odwrócony i podziemny z tym, co przeczytałem.

I siedzę na dnie i czekam. Jestem podobny do mokrej szmaty, do psów po deszczu. Moje czekanie jest napięte i wytężone.

Czekam, aż obrazy podniosą się przede mną, jak przed zaklinaczem węże, obrazy owszonych i żywych, wciskających usta w wargi trupów, obejmujących je udami, aż zmieszają się w wielkim składzie potu, łajna, strachu i otępienia i odsłonią to, co było przedtem – iżby okazało się, że ja, który byłem przeznaczony ku śmierci, stałem się dla żywota, że zostałem zabity, aby stworzyć ze zdań i słów życie, które wyrośnie na nawozie ze mnie i z tych, którzy zgnili.

I wydaje się to nagle najbardziej proste i wielokrotnie zawile, droga prymitywna, zwycięska i przewrotna.

Czy będę pół bogiem, pół czarnoksiężnikiem, aby mieszać, lepić i rozplądzać ludzi?

Joanna I

.....
P. wyjechał i nie wiem, czy znajdzie się tak prędko ktoś, kto potrafi robić to tak, jak on. Obiecał, że będzie przysyłał pieniądze co miesiąc. Twierdzi, że wraca za 3 mies.

Wczoraj byłem u k. (piszę naumyślnie przez małą literę, bo przez dużą nie jest wart). Zatelefonowałam do niego pierwszy raz od wyjazdu P. Był mile zdziwiony. Żądał, żebym tym razem przysłała na całą noc. Idiota. Po co ja się z nim w ogóle zadaję? Stosunek z nim nie sprawia mi w ogóle żadnej przyjemności. Poza tym jest skąpy. Jeden plus, że można z nim iść do kawiarni i pogadać.

Więc byłem u k. Przygotował się kretyn do tej nocy bohaterskiej jak toreador. On ze swoimi mizernymi orgazmami. Było też dużo rzeczy do jedzenia, jakbyśmy mieli przez tydzień nie wychodzić z pokoju. Mówi do mnie per „dziecinko”.

W szufladzie od stołu zobaczyłam przygotowanych 6 prezerwatyw i myślałam, że umrę ze śmiechu. Odsunęłam powoli 4 i zostawiłam 2. On się zmieszał i powiedział: – Mogą być na wszelki wypadek. On załatwił na mnie szybko swoje sprawy. Myślałam podczas tego o P., jak on to robi, i zaczerwieniłam się. Mały k. myślał, że to z powodu niego. Potem obróciłam się do ściany i chciałam spać.

Nie mogłam usnąć, bo k. musi leżeć pod pierzyną. Było mi gorąco jak cholera, ale koniec końców usnęłam. Wstałam o piątej, ubrałam się, zjadłam chleb z wędliną i popiłam winem, i poszłam do domu.

Po wyjeździe P. jest próżnia. Leżę w łóżku do dwunastej, nie chce mi się ubierać. Mam 23 lata i nic mi się nie chce. Nie chcę nawet dużo pieniędzy. Chcę mieć spokój i wygodę. Mam tylko od czasu do czasu małą zachciankę, małą ochotę na 3-dniową przygodę, nic więcej. Wydaje mi się, że płynę po życiu jak napęczniały, biały topielec po letniej, brudnej wodzie. Ale gdy widzi się, jak wszyscy latają koło swoich interesów, jak pies za suką, jak robią się ważni, to może już lepiej pływać.

Dziś powinnam mieć miesiączkę i nic. Inna rzecz, że to z P. było całkiem na wariata. Czekam jeszcze 4 dni, potem idę do dra D. On mi się trochę podoba. To byłaby trzecia skrobanka.

Wczoraj widziałam tych dwóch 18-latków, którzy bywają u »ciotki« Emilii. Jeden z nich tam, zdaje się, mieszka. Chyba ten niebieskooki. Siedzieli wczoraj wieczorem w parku i trzymali się jak zakochani za ręce. Obaj są ładni i mają takie czerwone usta, jakby się ciągle całowali. Nie mogę powiedzieć, że nie mam na nich ochoty. Poznam ich.

Dlaczego nie mam koleżanek? Znam różne dziewczęta, ale nie spotykam ich prawie. Chodzę zawsze sama albo z mężczyznami.

Była u mnie Ewa. Wyrosła, ma już prawie 17 lat. Przypomina mi czasy, kiedy nie miałam forsy i mieszkałam w tej zaszrannej dzielnicy nad rzeką. Boże, jak tam śmierdzi! Ona tam mieszka

jeszcze, jest śliczna, trochę postrzelona, ma dzikie oczy, miękkie i równocześnie ostre i niepokojące. Nic dziwnego, jej mama jest zwariowana, a tacie też niczego nie brakuje.

Mała jest biedna i potwornie ambitna, chce czegoś bardzo, tylko na razie nie wie czego. Ale będzie wiedzieć i myślę, że osiągnie to. Przychodzi do mnie wtedy, gdy w domu są awantury. Nie przyznałaby się do tego za Boga. Czasem sypia u mnie.

Już strasznie znudzili mi się ci mężczyźni z forszą i szykiem. Mam ochotę iść z jakimś gówniarzem na wodę sodową.

.....

Komentarz: Tym razem Joanna była niesprawiedliwa.
Mały k. ma lat 60 i nie można od niego dużo wymagać.

Drogi donikąd

Na zboczcu góry, wrzeźbiony w skałę, stał pensjonat. Na parterze, w pokoju numer osiem, budził się Emil.

Wyciągał ramiona, mruczał, prychał, wyginał kręgosłup jak łuk, krzyczał przez chwilę wysokim falsetem⁸. Wstał, podszedł do okna i zobaczył niebieską mgłę. Otworzył drzwi, szedł wolno w piżamie wzdłuż korytarza wykładanego zielonym linoleum. Przed białymi drzwiami stały wyczyszczone buty: przed numerem trzynastym olbrzymie buty Anglika, który uczył się grać u Finsena; przed numerem piętnastym, oprócz damskich Krystyny, duże męskie, przesadnie sportowe („Przyjechał narzeczony”). Przed drzwiami właścicielki pensjonatu – osamotnione sandaalki Eli.

Z asfaltowego tarasu było widać mgłę, prześwieconą słońcem, błyszczącą, różową, leżącą na górach, które wydawały się dalekie i bliskie. Usiadł na leżaku i zamknął oczy. Po chwili poczuł, jak słońce dotyka jego powiek, delikatnie, językiem ciepłym i miękkim, jak kot. Różowe koła ze światła i krwi toczyły się jak baletnice.

Otworzył oczy. Ktoś stał przy nim. To była Ela, o jasnych włosach i oczach, w piżamie.

– Dziś są moje urodziny.

⁸ *falset* – nienaturalnie wysoki głos męski. [przypis edytorski]

– Ile lat kończysz?

– Dwanaście.

Milczała chwilę. Odwrócił głowę, bo słońce świeciło mu w oczy.

– Proszę pana, czy ja mogę pana pocałować?

Odpowiedział wolno:

– Możesz.

Podeszła do niego od tyłu, objęła rękami jego podbródek i pocałowała go w policzek uważnie, bez cmokania. I dotknięcie jej było jak słońce, leżące na powiekach. Odsunęła się i stała przy nim. Szeroko otwartymi oczami patrzyła prosto w słońce. Była błada.

– Dziś są twoje urodziny, więc zapraszam cię na lody.

To było przyjemnie niekonsekwentne, bo postanowił się stąd wyprowadzić ze względu na małą.

– Tak.

– Powiesz mi podczas śniadania, czy mamusia ci pozwoliła.

– Tak.

Odeszła, cofając się wolno, tyłem, jak teatralny paż.

Podczas śniadania zobaczył, że narzeczony Krystyny jest dziobaty. „Może ma ukryte zalety” – pomyślał. Spotkali się na korytarzu, Krystyna uśmiechnęła się, przedstawiła go narzeczonemu i powiedziała:

– Wiesz, to jest ten inteligentny kawaler, który miał ochotę, opowiadałam ci, pocałować mnie. Prawda, że jest przyjemny?

Dopiero później ocenił, że to było bezczelnie sprytne. Na razie

duży pan i mały pan uśmiechali się, a duży pan zrobił pobłażliwą minę.

Po śniadaniu, mniej więcej o dziesiątej, Ela czekała w hallu i oglądała w lustrze swoją nową różową sukienkę. Szli najpierw przez las i plamy światła leżały na ziemi, i ona szła przy nim, próbując dorównać mu kroku, poważna, niby dorosła.

– Czy widzisz te krowy tam?

– Tak.

– Jak one wyglądają?

– Jak gwiazdy.

– Hoooo. Jak gwiazdy... – i uśmiechnął się. Wtedy ona uśmiechnęła się też i otworzyło się małe kocie niebo i pokazało rząd równych zębów.

– Ja panu coś powiem. – W jej oczach ukazały się wesołe błyski. – Nim pan przyjechał, ja zawsze wiedziałam, z którego miasta są goście.

– Coo? W jaki sposób wiedziałaś?

– No, wiedziałam po prostu.

– Bez kartki meldunkowej?

– Bez.

– A czy ktoś jeszcze wie o tym?

– Buruburu, ten stary portier.

– I od mojego przyjazdu nie odgadujesz więcej?

– Nie.

Weszli do parku, w którym grała orkiestra, błądy zdrojowy park. Spotkał tam Alinę, córkę znanego logistyka, przyjaciela

ojca.

Była duża, wyglądała jak niedźwiadek (zgrabny). Skończyła pierwszy rok chemii.

– Co robi twój papa? – zapytał, bo lubił go.

– Och, och! Nie wiem: mieszka w hotelu „Pod Różą”.

– Przecież ty mieszkasz we „Florydzie”...

– No tak, ale on mieszka tam z jedną panienką.

Wróciła do grupy chłopców i dziewcząt, krzyknęła:

– Twoja towarzyszka ma śliczną sukienkę...

Uśmiechnął się tak, aby to mogło na wszelki wypadek wszystko oznaczać.

Potem już było miasteczko i kawiarnia.

– Co pani zamówi? – zapytał, gdy przyszedł kelner.

Ela patrzyła na niego i nic nie mówiła.

– Co zjesz, mała? – zapytał, a ona płakała.

– Malinowe?

Skinęła głową.

– Czekoladowe?

Skinęła głową.

– Jakie jeszcze?

Wykrztusiła w końcu:

– Poziomkowe.

Kelner przyniósł lody i trzy grube, okrągłe wafle, wetknięte w usta lodów.

– One wyglądają jak cygara – i Ela była znów niby dorosła, poważna.

Ludzie wchodzili i wychodzili i Emil myślał o Krystynie, o zdarzeniu przy śniadaniu. I potem wracali przez las, z góry widać było pociąg, który gwizdał, i ona szła obok niego, nie patrząc na niego, i on schował się za drzewo. Wtedy ona uszła jeszcze kilka kroków, z uśmiechem zawróciła i znalazła go, bez szukania. I on wyszedł przestraszony, i ona nie mogła zrozumieć, dlaczego.

Szli dalej i plamy światła leżały na ziemi, i ona powiedziała:

– One są jak Bernard.

– Kto to jest Bernard?

– Bernard to jest nakrapiany pies, który zdechł zeszłego roku.

Wrócili na obiad. Na stole zastał dwa listy i dużą kopertę. Od ojca i od Janka.

„Drogi Synu!

Zawiadamiam cię, że równocześnie z niniejszym listem odsyłam ci dwa rentgenogramy. Jako niekompetentny w sprawach chorób płuc, dałem je do obejrzenia docentowi F. wraz z historią choroby, którą mi przysłałeś. Stan chorej – budowa klatki piersiowej wskazuje bowiem, że mamy do czynienia z kobietą – jest na tyle poważny, że leczenie i pobyt w górach będą się musiały przeciągnąć na długo, przypuszczalnie do końca życia. Odmy w prawym płucu doc. F. nie radzi robić z powodu olbrzymich zrostów, metoda zaś elektrycznego przepalania ich nie jest jeszcze wypróbowana. Torakoplastyka⁹ – musiałyby być zresztą

⁹ torakoplastyka (z gr. *thoraks*, D. *thorakos*: pierś, klatka piersiowa) – skrócenie lub usunięcie żeber, stosowane dawniej w leczeniu chorób płuc i opłucnej. [przypis edytorski]

bardzo obszerna – jest niewskazana nie tylko ze względów kosmetycznych, ale również z powodu wady serca, o której piszesz. Tyle mam do powiedzenia o tej pani.

Teraz pozwolę sobie zaznaczyć, abyś w przyszłości nie zajmował mnie sprawami tego rodzaju z dwóch względów: 1) Czas, który tracę, jest niewspółmierny do wątpliwych korzyści, jakie ci daję. 2) Nie lubię brać udziału w intrydze, jako lekarz.

Chcę ci poza tym donieść, że za miesiąc wychodzi moja epidemiologia. Przy jej pisaniu, jak i przy korekcie, G. oddał mi poważne usługi. Jak się tego spodziewałem od dłuższego czasu, matka Twoja będzie się musiała poddać resekcji nerki.

Pozdrawiam Cię serdecznie
Twój Ojciec”.

List od Janka:

„Wyobraź sobie, że w tym upale, przy tym śmierdzącym fortepianie, ciężkim i leniwym – pracuję. Mały napad pracy, choroba lenistwa. *Mefisto*¹⁰ idzie cudownie. Gram pierwszy temat zupełnie po pijacku, zupełnie zataczając się. Z sonatą b-moll męczę się potwornie. Chodzę po całym mieście i wypożyczam do niej płyty. Toccata C-dur poszła niespodziewanie łatwo; całuję codziennie adagio na dobranoc.

Czytam i nudzę się.

¹⁰ *Mefisto* – zapewne pierwszy, najbardziej znany z czterech *Walców Mefisto*, utworów fortepianowych skomponowanych przez Franza Liszta (1811–1886).
[przypis edytorski]

Twój ojciec zaprosił mnie na kolację. Pytałem go o różne głupstwa, np. jak to jest możliwe, żeby się człowiekowi iskry sypały z włosów itd. Przygotowałem Ci niespodziankę”.

Na stole leżały dwa otwarte listy, rentgenogramy w grubej kopercie. Emil patrzył przez okno. Krystyna zostaje tu na całe życie. Stary jest uroczy i komiczny. Jak obojętny jest na pozór list Janka. Nie nazywali nigdy po imieniu tego, co było między nimi. Nie zastępowali tego gwarą. Nie dawali listom nagłówków, aby nie używać pewnych słów. Byli oszczędni w gestach.

Emil wyrwał kartkę papieru z zeszytu, bo miał wstręt do pozorów systematyczności, do kartotek, brulionów. Uważał, że to są formy przymusu. Pisał:

„Jakie to jest komiczne i wielokrotnie dziwne. Znam Gide'a¹¹ *Falszerzy* i *Coridona*, i *Nourritures Terrestres*¹², wiem prawie wszystko, co można legalną drogą wiedzieć o Wildzie¹³,

¹¹ *Gide, André* (1869–1951) – francuski pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1947); indywidualista, odrzucający tradycyjne normy moralne. [przypis edytorski]

¹² *Nourritures Terrestres* – *Pokarmy ziemskie*, poemat prozą A. Gide'a, napisany pod wpływem książki *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego, wyd. w 1897, zyskał rozgłos ćwierć wieku później. [przypis edytorski]

¹³ *Wilde, Oskar* (1854–1900) – irlandzki poeta, dramaturg i prozaik; w swojej twórczości prezentował estetyzm, amoralizm i hedonizm; w 1895 oskarżony o praktyki homoseksualne, skazany na dwa lata więzienia; po odbyciu kary, opuszczony przez rodzinę i bojkotowany przez opinię publiczną, przybrał fikcyjne nazwisko i wyjechał do Francji. [przypis edytorski]

czytałem *Śmierć w Wenecji*¹⁴, wiem, co o tych sprawach myśli Platon¹⁵ i Owidiusz¹⁶, znam wreszcie współczesną literaturę psychologiczną, i mimo wszystko to jest tak samo nowe i świeże; mimo mego głodu wiedzenia naprzód, głodu władzy nad przyszłością, aby się nie dać zaskoczyć przez życie, mimo że wiem, że się to niedługo skończy, czuję to jednak tak, jakby to miało być nieskończenie długie.

Czy mogę z J. zrobić wszystko, co zechcę? Przed rokiem mógłbym. Ale teraz, kto wie? Przed rokiem, tu, na wakacjach, kiedy był przyklejony do mnie (po *appendicicie*¹⁷). Mieszkaliśmy w chłopskiej chałupie, był jeszcze taki słaby, że trudno mu było samemu chodzić. Gdy oczekiwałem go na stacji, gdy mnie zobaczył, trzeba było widzieć jego oczy. Szkoda”.

Wrzucił kartkę do tekturowej teczki (takie notatki uważał też za rodzaj przyszłego „materiału”), wyjął dużo innych podobnych

¹⁴ *Śmierć w Wenecji* – nowela Tomasza Manna wyd. w 1912, opowiadająca o platonicznej miłości starzejącego się pisarza do młodego chłopca. [przypis edytorski]

¹⁵ *Platon* (427–347 p.n.e.) – gr. filozof, twórca klasycznego idealizmu; w dialogu *Uczta*, omawiającym kolejne szczeble miłości, m.in. analizuje i pochwała męską miłość homoseksualną. [przypis edytorski]

¹⁶ *Owidiusz*, właśc. *Publius Ovidius Naso* (43 p.n.e.–17 lub 18 n.e.) – jeden z największych poetów rzymskich, znany głównie z utworów o tematyce miłosnej. Tu zapewne nawiązanie do zamieszczonej w jego *Metamorfozach* (X.155) mitologicznej opowieści o Ganimesesie, pięknym młodzieńcu, którego przemieniony w orła król bogów Zeus porwał i uczynił swoim kochankiem i nieśmiertelnym podczaszym bogów. [przypis edytorski]

¹⁷ *appendicit* – popr.: *appendicitis acuta* (łac.), zapalenie wyrostka robaczkowego. [przypis edytorski]

kartek; to była nowela, którą kończył.

Był mały pięcioletni Jano i jego świat magii. Ręce za szybą i grysik, którym go karmiła służąca Marysia. Poza tym jest Anna, matka. Zbliży się do szafy, gdzie wiszą suknie i płaszcz.

– Mamo, czy odchodzisz?

– Nie. (On wie, że ona kłamie).

W pokoju obok leży ojciec, umierający na raka. Jego oczy wpadają powoli do wnętrza czaszki. Anna odchodzi do Emila, który ma osiemnaście lat. Anna ma dwadzieścia cztery. Jano zostaje sam. Ojciec jęczy. Jano wchodzi do kuchni. Marysia chrapie i dyszy przez sen. Na wpół obłąkany ze strachu Jano budzi Marysię.

„Jej nogi były czerwone aż do kolan, wyżej białe. Jej duże piersi podnosiły się i opadały, podnosiły się i opadały. Jano krzyknął:

– Marysiu!

Otworzyła oczy, zanurzone w śnie. Uderzył ją w ramię. Wyciągał ją z ciężkiego snu jak z bagna.

– Marysiu!

Sen spełzał powoli z jej oczu.

– Czego chcesz?

– Idź po mamę!

Była ogromna, biała, ciepło buchało od niej.

– Co?

– Idź, przyprowadź mamę.

– Śpij, smarkaczu!

Zobaczył, że zasypia. Wziął nóż kuchenny i podszedł do niej.
– Marysiu!”

I tak dalej.

Ona w końcu wstaje, bierze go na ręce, on czepia się rękami klamek i wrzeszczy.

Emil płynie powoli po własnych zdaniach. Co ma powiedzieć Jano w ostatecznym, błagalnym i rozpaczliwym momencie? Wraca znów z prądem słów, natrafia na ten sam zakręt. Powoli przerzuca swoją przeszłość, swoje rozmowy z dziećmi. Jest przez chwilę naciągnięty jak struna, nim się ją puści, nim wyda dźwięk.

Mały chłopiec prosi go w parku:

– Daj mi zegarek, zobaczysz, ja ci dam też, daj mi...

– Co mi dasz?

Tamten odpowiada na serio i poważnie.

Emil pisze:

„Jano krzyczy: – Proszę cię, proszę cię! Czekaj, dam ci dom i złoto!”

To była mała błyskawica, mały strach, na krótką część sekundy zatrzymane uderzenie serca. Reszta jest prawie napisana. Ludwik (ojciec Jana) staje przed murem, przed śmiercią. Jano jest zamknięty w pokoju ojca. Rozmowa Jana z ojcem, rozmowa pięcioletniego chłopca z trzydziestoletnim ojcem o śmierci.

„Ojciec:

– Dlaczego ty myślisz, że ja już nie jestem człowiek? Musisz mi pomóc, synku, musisz. Będę się opierał o ciebie i o ścianę i

podejdę do okna. Potem ty wyjdiesz...”

Jano pomaga. Czuje, że ręka ojca jest bardzo ciężka. Ludwik staje przy oknie: na dole Anna i Emil trzymają się za ręce i ona uśmiecha się. Jano jest mały, a okno jest wysoko. Ale czuje wielkie napięcie między górą i dołem. Ludwik myśli o Annie i o śmierci. To jest to samo, to już wkrótce będzie to samo. Więc przestaje się wahać i nie rzuca się z okna.

Gdy matka wraca, Jano mówi tylko:

„– Mamo, tak bardzo czekałem na ciebie.

I o tej nocy nie powiedział nic więcej”.

Nareszcie. Jest zadowolony z rozmowy ojca z synem, gdy śmierć odkrywa swoją twarz. Cieszy się z męczącego *crescenda*¹⁸, które załamuje się wtedy, gdy Ludwik staje przy oknie, które kończy się szczytem, *pianissimo*¹⁹:

– Mamo, tak bardzo czekałem na ciebie.

Była godzina czwarta po obiedzie. Emil wiedział, że Krystyna schodzi teraz z leżaka i pójdzie do pokoju, że jej narzeczony załatwia coś w mieście. Dlatego poszedł do pokoju numer piętnaście.

Leżała na łóżku w białych, krótkich spodenkach i białym golfie. Na podkurczonym kolanie trzymała książkę. Ponad kostką, na nodze, miała cienki złoty łańcuszek. Była lekko opalona.

Nie poruszając głową, powiedziała: – Siadaj, mały –

¹⁸ *crescendo* (wł., muz.) – coraz głośniej. [przypis edytorski]

¹⁹ *pianissimo* (wł., muz.) – bardzo cicho. [przypis edytorski]

wskazując na łóżko.

Mały usiadł.

– Zły jestem.

– Zły jesteś? Przecież masz ładne włosy, zwłaszcza gdy je rozrzuca wiatr. Traktuję cię jak dziewczynkę, bo nią trochę jesteś. No... zresztą nie będę prawila komplementów, bo jesteś dostatecznie zarozumiała. Gdzie są moje roentgeny? Chyba nie chcesz, abym musiała się zgrywać na panią Chauchat²⁰?

– Przyniosłem je.

– Dobrze. Teraz powiedz, dlaczego jesteś zły?

– Bo on cię...

– ...ma – dokończyła ona i zaczęła się śmiać. – Kto mię ma?

Kto mię w ogóle może mieć?

Chwilę kiwała nogą, tą ze złotym łańcuszkiem.

– Z konwencjonalno-fizjologicznego punktu widzenia to on mię miał pewną ilość razy. Powiedz lepiej...

Emil tego już nie słyszał. Krew zaczęła mu napływać do głowy, podobnie jak pewnego razu w szkole, przed wielu laty, podczas historii z zadaniem o albatrosach.

Wtem otworzyły się drzwi. W drzwiach stała Ela. Krystyna powiedziała:

– Wejdz.

Ale ona nie weszła. Miała szeroko otwarte oczy.

²⁰ *pani Chauchat* – postać z powieści Tomasza Manna *Czarodziejska góra* (1924), piękna Rosjanka, w której zakochuje się główny bohater, Hans Castorp. [przypis edytorski]

Odnajdywała go wszędzie i ciągle, ze zwierzęcą, jasnowidzącą pewnością. Tropiła go jak pies, chodziła za nim jak lunaticzka. Krystyna powtórzyła:

– Wejdz.

Ale ona nie weszła.

Emil, nie patrząc na Elę, bo bał się jej wzroku:

– Chcę cię dzisiaj widzieć.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Bardzo chcę.

– Nie bądź śmieszny. Jest mi przykro, gdy się wygłupiasz.

– Chcę.

– Możesz chcieć.

Wstał i wyszedł z pokoju, omijając Elę szerokim łukiem.

Na czterech fortepianach, w czterech krańcach pensjonatu, ćwiczyli uczniowie Finsena. Księżę gruziński o ukośnych oczach grał początek Wallensteinowskiej²¹ na przyjemnym Bechsteinie²², wśród dymu papierosów; był giętki, wysoki, trzydziestoletni. Z wściekłością wypracowywał i wyrzeźbiał precyzyjnie trzynaście pierwszych taktów, dokładność akcentów, tętniący, ukryty, zduszony rytm.

²¹ *Wallensteinowska* – sonata fortepianowa nr 21 C-dur opus 53 Beethovena, znana jako *sonata Waldsteinowska* (1804), zaczynająca się od serii szybko powtarzających się akordów, granych pianissimo. Dedykowana księciu von Waldstein (niektórzy członkowie tego rodu nosili nazwisko Wallenstein). [przypis edytorski]

²² *Bechstein* – tu: renomowana marka fortepianów z wytwórni zał. w 1853 przez niem. przedsiębiorcę Carla Bechsteina. [przypis edytorski]

Emil stał za dużą palmą i oglądał księcia. Wczoraj siedzieli do późna w nocy i rozmawiali o muzyce, o pianistach, o Paryżu. Książę przeszedł nagle z niemieckiego na francuski, otoczył się dymem papierosa jak niebieską zasłoną, zaczął opowiadać o Niżyńskim, Diagilewie i Lifarze²³; potem przeszedł szybko z „vous” na „tu”²⁴.

– *Est-que tu l'as vu, petit?*²⁵

– *Oui, je l'ai vu une fois... ici-même, dans les montagnes.*²⁶

– *Il est beau, n'est-ce pas?*²⁷

– *Il est très beau.*²⁸

– *Il n'aime pas les femmes. Le sais-tu?*²⁹

– *Je le sais: il est rare que des célèbres danseurs aiment les femmes. D'ailleurs, la danse elle-même contient quelque chose*

²³ Niżyński, Diagilew, Lifar – Wacław Niżyński (1889–1950): wybitny rosyjski tancerz baletowy i choreograf polskiego pochodzenia; *Siergiej Pawłowicz Diagilew* (1872–1929): rosyjski impresario baletowy, założyciel słynnego zespołu *Les Ballets Russes* (fr.: Balety rosyjskie), do którego należał był m.in. Niżyński; *Serge Lifar*, właśc. *Siergiej Michajłowicz Lifar* (1905–1986): francuski tancerz i choreograf pochodzenia rosyjskiego, członek zespołu Diagilewa. [przypis edytorski]

²⁴ przeszedł szybko z „vous” na „tu” – przeszedł szybko z „pan” na „ty”, mówiąc po francusku. [przypis edytorski]

²⁵ *Est-que tu l'as vu, petit?* (fr.) – Widziałeś go, mały? [przypis edytorski]

²⁶ *Oui, je l'ai vu une fois... ici-même, dans les montagnes* (fr.) – Tak, widziałem go raz... nawet tutaj, w górach. [przypis edytorski]

²⁷ *Il est beau, n'est-ce pas?* (fr.) – Jest piękny, nieprawdaż? [przypis edytorski]

²⁸ *Il est très beau* (fr.) – Jest bardzo piękny. [przypis edytorski]

²⁹ *Il n'aime pas les femmes. Le sais-tu?* (fr.) – Nie lubi kobiet. Czy wiesz? [przypis edytorski]

*de feminin. Il m'est difficile de l'expliquer en français. Rangopal aussi est homosexuel. J'ai lu ses lettres d'amour, des lettres très naïves et très belles, adressées à mon... à un de mes amis.*³⁰

– Ah!

Książę strzepnął popiół z papierosa. Jego jasnoniebieskie, koloru lodu, skośne i gruzińskie oczy, wysunęły się z mgły.

– *Je veux que tu sois a moi. Tu as le visage d'un faune juvenile, tes mouvements sont doux, ta peau est dorée par le soleil...*³¹

Emil uśmiechnął się i powiedział:

– *Non.*³²

Oczy księcia zgasty i zaszły gęstym dymem.

– *Est-ce que c'est la dame qui s'appelle Christine qui t'a perverti de cette façon?*³³

– *Pourquoi employez-vous ce terme de „pervertir”?*³⁴

– *Quelle pitié... Tu me sembles avoir beaucoup lu, et malgré cela tu ne connais pas les choses qui sont en toi, tu ne sais pas ce*

³⁰ *Je le sais: il est rare...* (fr.) – Wiem: rzadko słynni tancerze lubią kobiety. Poza tym sam taniec ma w sobie coś kobiecego. Trudno mi to wyjaśnić po francusku. Rangopal też jest homoseksualistą. Czytałem jego listy miłosne, listy bardzo naiwne i bardzo piękne, skierowane do mojego... do jednego z moich przyjaciół. [przypis edytorski]

³¹ *Je veux que tu sois a moi...* (fr.) – Chcę, żebyś był mój. Masz twarz młodego fauna, twoje ruchy są miękkie, skóra złota od słońca... [przypis edytorski]

³² *Non* (fr.) – Nie. [przypis edytorski]

³³ *Est-ce que c'est la dame qui s'appelle Christine qui t'a perverti de cette façon?* (fr.) – Czy to ta dama imieniem Krystyna zdeprawowała cię w ten sposób? [przypis edytorski]

³⁴ *Pourquoi employez-vous ce terme de „pervertir”?* (fr.) – Dlaczego używa pan słowa „zdeprawowała”? [przypis edytorski]

*que tu pourrais ressentir. A ce moment-même tu passes a cote d'un monde immense que tu ignores complètement, tu passes comme un cheval à qui on a bandé les yeux.*³⁵

Przez chwilę było cicho w pokoju i pasma papierosowej mgły wyginały się wolno nad czarnym fortepianem. Książe wstał, powiedział: – *Bonne nuit*³⁶ – i wyszedł.

Emil stał za palmą i oglądał księcia. Potem ubrał się i wyszedł.

Mała, teatralna trochę dolina, wyrzeźbiona przez strumień w wapieniu. Nad wodą bełkocącą stała drewniana kawiarenka, w której jadał truskawki ze śmietaną. Na zboczach rosły niebieskawe jodły. Przy stoliku w kącie siedział siwowłosy profesor logistyki, zagięty jak pytajnik, z młodą dziewczyną. Obok inne dziewczęta śmiały się głośno, trzymały się za ręce, zerkwały na wszystkie strony, śmiały się znów, i ich śmiech opadał jak mały wodospad. Głupie smarkate.

Wrócił do pensjonatu, który nazywał się „Złocień”. Jeszcze było przed kolacją i nudził się, i przykrzyło mu się. Zatelefonował do Alinki, ale nie było jej w domu. Poszedł do łazienki i mył się zbyt długo. Napisał list do Janka, w którym donosił mu, że zamierza pozostać tu jeszcze około dwóch tygodni, i nie wysłał go. Potem chodził po willi,

³⁵ *Quelle pitié... Tu me sembles...* (fr.) – Jaka szkoda... Wydaje się, że jesteś odcytany, a mimo to nie wiesz, co w tobie tkwi, nie wiesz, co czujesz. W tej chwili przechodzisz obok ogromnego świata, który całkiem ignorujesz, przechodzisz jak koń z kłapkami na oczach. [przypis edytorski]

³⁶ *Bonne nuit* (fr.) – Dobranoc. [przypis edytorski]

próbował wszystkich czterech fortepianów, szukał Eli, która wyszła do miasteczka. W końcu spotkał pewnego dancing-bubka i dowiedział się od niego, że Krystyna idzie po kolacji do kawiarni.

Podczas kolacji, w sali jadalnej, było cicho, bo jedzono kurczęta; to wymagało skupienia. Krystyna siedziała tyłem do Emila, ubrana w suknię w kwiaty, przez którą przeświecały ramiączka biustonosza.

Siedział przy stoliku ze starszą panią i młodym małżeństwem i mówił wielką ilość głupstw, większą niż zwykle. Pewna liczba mieszkańców pensjonatu uważała go za idiotę – sprawiało mu to przyjemność, gdyż był megalomanem.

Nie czekając na deser, zszedł wolno ze schodów. Ciepły wiatr gwizdał między jodłami, które chwiały się i trzeszczały w ciemności. Stał pod drzewem, przed oczami miał oświetlony prostokąt: brama. Brunatny księżyc pełzał po zboczu. Cień przeciął oświetlony prostokąt. Krystyna. Podeszedł do niej. Zapytała:

- Idziesz też do miasta?
- Czekam na ciebie.
- Na mnie? No, to odprowadź mnie.

Wziął ją pod rękę. Po chwili mruknął wyraźnie, z uporem, jak dziecko:

- Ja chcę...
- Czego chcesz?
- Ciebie chcę.

Zaśmiała się, szli na przełaj przez las, który huczał.

– ...dlatego, że on przyjechał – zawołała przez wiatr.

– Prawdopodobnie.

– Mój mały, wiesz chyba, że jesteś...

– Posłuchaj. Książę też mówi do mnie „mój mały” i ma na mnie ochotę. Ja na ciebie, może ty na księcia?

– Może?

Zbliżali się do miasteczka.

– Jeśli chcesz, poczekaj na mnie w ogrodzie. Wrócę koło dwunastej. Porozmawiamy. Dobrze?

Do jedenastej Kempf z Monachium grał Beethovena³⁷ i Bacha. Emil siedział w ogrodzie, poprzez otwarte okna słysząc było początek *Appassionaty*³⁸, koci, niepokojący, gotowy do skoku. Oświetlone okna, kołyszące się drzewa.

Emil: „Janek siedzi teraz przy aparacie. Gdybym ja tylko wiedział, że to jest najlepsze wykonanie *Appassionaty*, byłoby to bardzo trudne do zniesienia. Zwłaszcza że nie mógłbym tego zdania zmienić. Wariaci też nie mogą zmienić. Gdy miałem trzynaście lat, przeżyłem taką noc. To było straszne. Wtedy uważałem, że jestem wszechwiedzący. Wielkie napięcie, pianissimo, przed końcem pierwszej części. Nareszcie zryw. W tym miejscu zawsze chce mi się płakać. To była noc

³⁷ *Beethoven, Ludwig van* (1770–1827) – kompozytor niemiecki, zaliczany do tzw. klasyków wiedeńskich, a zarazem prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

³⁸ *Appassionata* – sonata fortepianowa nr 23 f-moll op. 57 Beethovena. [przypis edytorski]

strasznej samotności. Zbocze, pokryte jodłami, szumi jak organy. Zbocze, wryte w niebo. Początek *Fantazji C-mol*³⁹. Chciałbym, aby Krystyna zobaczyła w kawiarni na dnie kieliszka moją twarz. Wierzę częściowo, że to jest możliwe. Przy pomocy magii...? Ojciec zahipnotyzował sowę, która rzucała się w klatce. Potem zbliżył się do stołu i wpatrywał się w kieliszek. – Przecież on jest martwy. – Chciałem zobaczyć, czy nie da się go podnieść samym wzrokiem. W tym czasie wyszła jego książka o zmienności gatunków bakterii. Profesor Wincenty twierdzi, że stary jest – obok Nicolle'a⁴⁰ – największym znawcą tego zagadnienia w Europie. Ile w tym było dziecinnej magii?"

Księżyc wędrował nad jego głową. Kempf skończył grać. Cienie chmur pełzały po górach. Księżyc o zgaszonej do połowy, szarej tarczy, jak wybite oko. Pierwsza. Druga. Koguty piałły. Szyby połyskiwały matowo, jak ołowiane. Zielony kot wskoczył cicho na ławkę i wtulił się pod ramię. Nie zauważył, jak przyszła i usiadła obok niego.

– Myślałam, że śpisz.

Była trochę pijana i wesola. Emil popatrzył na nią ze zdziwieniem. Pomału zaciskało się coś w nim. Chowało się, jak ślimak w skorupę. Jego oczekiwanie nie odnosiło się do Krystyny. Bo oczekiwanie nie odnosi się nigdy do zdarzenia,

³⁹ *Fantazja C-mol* – zapewne pierwsza część J. S. Bacha *Fantazji i fugi C-mol* (BWV 562). [przypis edytorski]

⁴⁰ *Nicolle, Charles* (1866–1936) – francuski lekarz i bakteriolog, laureat Nagrody Nobla (1928). [przypis edytorski]

na które czekamy. Najważniejszą cechą oczekiwania jest to, że zmienia niedostrzegalnie substancję zdarzenia, nadmuchuje je, wyolbrzymia, przesuwą jego środek ciężkości, destyluje – tak, że to, co nadchodzi, nie jest prawie nigdy tym, na co czekamy.

– Chcesz mnie pocałować?

Powiedział: – Nie – i wstał.

Ona krzyknęła za nim:

– W takim razie pocałuj ode mnie księcia.

Poszedł spać. Śnił mu się ociekający wodą, zwęglony księżyc, który wynoszono z domu. Równomierne ruchy znanej mu ręki na poręczy, które były drugim motywem *Appassionaty*.

Rano wyjechał. Z dworca zatelegrafował do Janka. Przedtem zostawił Eli zabawkę: włochatego, trochę wyłysiałego niedźwiadka, którego wszędzie woził ze sobą.

W tym czasie Ela, z niedźwiadkiem w rękach, zapukała do pokoju Krystyny.

– Proszę.

– Dzień dobry pani.

– Dzień dobry, Ela.

Krystyna, w niebieskim szlafroku, robiła sobie manicure.

– Dlaczego tak dziwnie zachowywałaś się wczoraj? Czy to z powodu...

– Pan Emil wyjechał.

– Wyjechał...?

Krystyna spojrzała na niedźwiadka, którego znała tak dobrze, i wtedy Ela przycisnęła go kurczowo do siebie.

Wieczorem Emil zobaczył już z daleka dwie wieże jego miasta, ułożone w białawej mgle, jak w wacie. Potem wjechał na dudniący most. Nad spokojną rzeką, napęczniałą i dojrzałą, stali nieruchomi rybacy. Nagie dzieci biegały wzdłuż brzegu. Stały i machały rękami w stronę pociągu.

Obcy zapach

Emilowi otworzyła stara kucharka, którą nazywał Meduzą.

– O, panicz przyjechał!

– Czy tatuś jest w domu? A mamusia? (zapomniał, że jest chora). Niech Meduza, z łaski swojej, zanieśe rzeczy do mojego pokoju (zwracał się tak uprzejmie tylko do kucharek i pokojówek).

Wszedł do pokoju matki i pocałował ją wyjątkowo; miał wyrzuty sumienia, że zapomniał o jej chorobie. Gdy znalazł się u siebie, położył się natychmiast na tapczanie. Uwielbiał tę pozycję.

– Gdybym był dziewczyną, tobym na pewno był kurwą – pomyślał, ale zaraz wstał. Nie znosił chorobliwie, aby mu cośkolwiek ruszano w pokoju, i z tego powodu nie lubił sprzątań. Mówił: – Takie to porządki, że wszystko leży ułożone i niczego nie można znaleźć.

Więc skontrolował przede wszystkim dwie rzeczy, najbardziej narażone na niebezpieczeństwo: małą kolejkę, zabawkę dzieciinną, która za naciśnięciem ukrytego w tapczanie guzika wyjeżdżała zza kotary i przywoziła papierosy i książki, i maszynę do pisania, czy mu przypadkiem Staszek czegoś nie zmajstrował przy niej. Najmniejszą zmianę pozycji pamiętał dokładnie.

Nagle zauważył, że dochodzi siódma, godzina spotkania z Jankiem. Poszedł na rytualne miejsce, na pewien niepozorny

róg dwóch ulic. Mieli nastawione zegarki dokładnie na tę samą godzinę i byli bardzo punktualni. Emil przychodził zwykle o pięć minut wcześniej i czekał.

Przechodziły koło niego kobiety i, jak komety, ciągnęły za sobą smugi zapachów. Z daleka zapalono lampy semaforów kolei elektrycznej, która pełzła po drutach: fosforyzujący pająk.

Dziesięć po siódmej. Poczł strach. Mężczyźni krążyli koło prostytutek, jak tokujące gołębie; śmieszne. Zaczł przełykać ślinę i zapatrzył się na chwilę.

Ich przyjaźń. Nie nazywali tego przyjaźnią, nie nazywali tego wcale. I mieli rację. Bo pewnych rzeczy nie należy nazywać. Wszelkie nazwy będą fałszywe. „Większa część naszych cierpień psychicznych pochodzi stąd, że umiemy je nazwać i opisać” – pomyślał Emil.

Mieli piętnaście lat. Chodzili do jednego gimnazjum, do różnych oddziałów tej samej klasy. Padał deszcz, gdy wyszli ze szkoły. Schowali się na centralnej poczcie, w dużej hali. Z teczkami pod pachą, rozmawiali o przeczytanych książkach. Gdy mówili o Rollandzie⁴¹, Janek zapytał:

– Czy chcesz, aby było między nami tak, jak między Oliverem i Krzysztofem⁴²?

Skinął głową. To było wszystko, co na ten temat powiedzieli.

⁴¹ *Rolland, Romain* (1866–1944) – francuski pisarz, autor m.in. 10-tomowej powieści rzeki *Jan Krzysztof* (1904–1912); nagrodzony literacką Nagrodą Nobla (1915). [przypis edytorski]

⁴² *Oliver i Krzysztof* – w powieści *Jan Krzysztof* poeta Olivier Jeannin był przyjacielem muzyka Jana Krzysztofa Kraffa. [przypis edytorski]

Gdy deszcz minął, poszli po raz pierwszy do Emila do domu. Tam Janek zobaczył fortepian i zapytał (głos miał kobiecy, przypominający głos skrzypiec zza ściany):

- Czy grasz?
- Trochę.
- Co?
- Teraz ćwiczę mazurek Chopina.
- Mógłbyś zagrać?

Zagrał go. W punktach kulminacyjnych robił *diminuenda*⁴³, co było jego nowym odkryciem.

- Czy ja też mogę zagrać?
- Grasz?
- Tak.

Podszedł do fortepianu dziwnie miękko. Powiedział:

– Mazurek Cis-moll – i zagrał go tonem Edwina Fischera⁴⁴, rozpoczynającego fugę Bacha, całkiem prosto, egzotycznie, niemal wstrząsająco. Wtem otworzyły się drzwi i weszła matka Emila, mówiąc:

- Jak ładnie grasz dzisiaj. Co się...

Troje zaczerwienili się z całkiem różnych powodów.

- Pozwól, mamo, to jest mój kolega.

Potem kłótnie, przypominające sceny małżeńskie. Tylko na

⁴³ *diminuendo* a. *decrescendo* (wł., muz.) – stopniowe zmniejszanie dynamiki (głośności dźwięków) we fragmencie utworu muzycznego. [przypis edytorski]

⁴⁴ *Fischer, Edwin* (1886–1960) – wybitny szwajcarski pianista i dyrygent, sławiony gł. z wykonaniami dzieł Bacha i Beethovena. [przypis edytorski]

tematy teoretyczne. Wybuchła z nich wtedy nienawiść. Nie ukrywali jej, ale nie mogli odejść od siebie, aby nienawiść minęła. Nie widzieli, jak ją powstrzymać. Ona wciąż rosła, jak ziarno fakira, aż do punktu, kiedy w jednym z nich załamywała się, a wtedy równocześnie załamywała się i w drugim. Czasem (zdarzało się to bardzo rzadko) jeden z nich przełamywał pierścień nienawiści i uciekał z niejasnymi uczuciami, bo nie wiedział, czy odchodzi jako pogniewany. Była to tylko gra przed tym drugim i sobą zarazem, komedia nieunikniona i podniecająca. I jeden szedł zazwyczaj tak wolno, żeby drugi mógł go dogonić. Wtedy następowała ulga tak głęboka, że robiła wrażenie zapadania się, znikania, zlewania się z otoczeniem, nieistnienia.

Janek przyszedł pewnego razu z miną, która oznaczała „coś się stało”.

- Przyrzeknij mi, że się nic nie zmieni, myślę... między nami.
- Przyrzekam. Co się stało?
- Wstydzę się powiedzieć, ale to jest coś takiego, co może mieć wpływ.
- Lubisz kogoś?
- Ale skąd...
- Nie ma innej rady, jak powiedzieć?
- Nie ma.
- No, to powiedz.
- Ale nie będziesz się ze mnie śmiał? Zmieniam głos.
- W jaki sposób?

– Byłem u lekarza i powiedział, że będę mówił nisko... może nawet basem.

– Co to znaczy? Nic nie rozumiem.

– Byłem u lekarza i powiedział, że mam normalnie rozwinięte struny głosowe i z jakichś tam powodów psychicznych mówię falsetem. Tobie się podobał ten głos... Żebym do niego trzy razy w tygodniu przychodził i robił ćwiczenia, to za dwa tygodnie będę mówił basem.

Milczeli obaj. Wydało im się to naprawdę tragiczne, więc Janek mówił dalej drżącym głosem:

– Będziemy musieli przez dwa tygodnie przestać się spotykać, a potem z nowym głosem...

Emil połykał ciągle ślinę. Połykał więc ślinę z powodu tego przeszłego już zdarzenia, ze zdenerwowania i z powodu tego, że była już 7.30. Janek nie przyszedł na spotkanie pierwszy raz od trzech lat.

Postanowił iść do niego. Otworzyła mu pani, którą nazywali ciotką Emilią.

– Czy jest w domu?

– Nie, ale...

Nie słuchał jej.

W pokoju Janka kasztan wsadzał głowę przez okno. Było ciemno i nie zapalił światła. Zaledwie można było rozróżnić zarysy dzbanka i miski na wodę. Prawie całe miejsce zajmował długi fortepian, o którym Emil wiedział, że jest ciężki w uderzeniu. W kącie stało składane łóżko. Stołu nie było.

Była to godzina przedwieczorna, milcząca, nieruchoma. Kasztan zaczął z wolna wydzielać swój nocny zapach. Wsadził głowę między jego liście, i to mu przyniosło ulgę, bo męczył się bardzo.

Radio grało z daleka na pełnym głośniku łzawy szlagier, ohydnie sentymentalny. Otarł się – jak kot – o melodię, ponizającą dla niego; otarł się właśnie dlatego, że była ponizająca. (Jak kot ociera grzbiet o nogi albo krzesło). Potem zanurzył się w nią całkiem.

Wtem poczuł, że coś się niedostrzegalnie zmieniło w nim albo poza nim. Obrócił się. Janek. Otarli się o siebie milcząc policzkami i Emil poczuł bardzo lekki zapach perfum. Usiedli razem na łóżku i oparli głowy o ścianę. Siedzieli tak i nie myśleli o niczym. Emil miał wrażenie, jakby go prąd czasu wyrzucił na brzeg i płynął dalej, omijając go, i on był poza czasem. Leżał na brzegu w spokoju, nie istniejąc wcale, w spokoju, który da się określić tylko przez wiele negacji. W końcu:

– Dlaczego nie przyszedłeś?

– Bo mi nie dałeś znać, że przyjeżdżasz.

– Depesza.

– Nie było mnie cały dzień w domu. Depesza pewno gdzieś tu leży.

Pauza.

– Niespodzianka...?

Janek wstał powoli i podszedł zgarbiony do fortepianu, dziwnie miękko, jak wtedy, przed trzema laty. Usiadł.

Była to pieśń Schuberta *Gretchen am Spinnrade*⁴⁵. Zaczynała się niespokojnym akompaniamentem, niepodobnym do żadnego kołowrotka świata, naśladowującym jednak kołowrotek. Między jego tony wkradła się sama pieśń, oddalona od akompaniamentu w sam raz, ani za dużo, ani za mało, chwiejąca się na nieskończenie wąskiej linii, która była idealnym oddaleniem, piano, płynęła wolno, jak struga gęstego płynu o barwie fioletowej, raz jaśniejącej na chwilę niebiesko, raz przechodzącej w granat, prawie czarny, śpiewająca o tym, skąd nie ma powrotu – to się wiedziało na pewno – śpiewająca, że „już nigdy” i „na zawsze”, słowa, od których się cierpnie.

Była to pieśń niesamowita, zawarta jedynie między piano⁴⁶ a forte⁴⁷, zostawiająca po sobie smugę nienasycenia, niesamowita, ale nie wprost, lecz jakąś drogą okólną trafiającą w samo jądro niepokoju. I nigdy nie została zepsuta żadną tercją⁴⁸ czy kwartą, nigdy nie próbowano wzmocnić tonu przez oktawę. Ciągnęła się samotna i naga. Gdy zakończyła się tym, co było jej początkiem, został jeszcze kołowrotek, jednostajny, aż zahaczył się o coś i on. I stanął nagle, tak jak musi stawać serce.

Skończył i pokój był przesycony zapachem kasztana. Milczeli. Trzeba było rozbić ciszę, tak stężała. Potem:

⁴⁵ *Gretchen am Spinnrade* – Małgorzata przy kołowrotku, pieśń Schuberta z 1814 do fragmentu tekstu z dramatu *Faust* Goethego. [przypis edytorski]

⁴⁶ *piano* (wł., muz.) – cicho, delikatnie. [przypis edytorski]

⁴⁷ *forte* (wł., muz.) – mocno, głośno. [przypis edytorski]

⁴⁸ *tercja, kwarta (...)* *oktawa* (muz.) – nazwy interwałów muzycznych pomiędzy dwoma dźwiękami. [przypis edytorski]

– Czyja to transkrypcja?

– To właściwie wcale nie jest transkrypcja. To jest oryginał, zrobiony z możliwie najmniejszą ilością zmian, na fortepian. Chciałbym dojść do tego, by móc sobie pozwolić tym zakończyć koncert. Nie po wirtuozowsku... Przypominasz sobie to miejsce po „*Kuss*”⁴⁹? Jest zrobione nieco inaczej. Poza tym w niektórych miejscach akompaniament o tyle tylko...

Emil dziwił się, że Janek tyle mówi. Był zgorzony. Powiedział:

– Chodźmy.

Było po deszczu, parowała rozmokła ziemia, w parku ławki już wysychały. Mimo wszystko od Janka pachniało lekko jakimś obcym zapachem. Trzymali się za ręce. Emil nie odczuwał tego z żadną jeszcze kobietą: tego prądu, idącego przez rękę, jakby coś najważniejszego w nim przechylało się na tę stronę.

Wałęsali się, milcząc, wśród olbrzymich cieni drzew, czasem prążkowanych światłami, w ciemni, ubitej przez pary ludzi, którzy się tu przychodzili kochać. Oczy im się rozszerzały, brązowe oczy Emila i niebieskie Janka. Mówili szeptem, bo wieczorem w parku nie mówi się głośno; każdy rozumie, że tego robić nie wolno. Coraz to nowe fale ciemności opadały na nich, jak czarny śnieg; wolno prószyla ciemność.

Krażyli w poszukiwaniu miejsca, aż znaleźli placyk w kształcie koła, obrośniętego dookoła krzakami, na którym w dzień bawiły się dzieci. Ławki były poustawiane w regularnych

⁴⁹ *Kuss* (niem.) – pocałunek. [przypis edytorski]

odstępach, było ich kilkanaście. Obrócone tyłem, na każdej ławce siedziały zarysy mężczyzny i kobiety. Niektórych ławek nie było widać. Wtem ktoś zapalił papierosa i zobaczyli wolną ławkę, jedyną wolną, jakby na nich czekała. Zaczerwienili się. Podeszli do niej i poczuli obaj ostry zapach, jaki wydziela podniecona kobieta. Usiedli i ławka była jeszcze ciepła. Usiedli przodem do wnętrza koła, na złość. Delikatnie ocierali się o siebie policzkami i Emil poczuł, że jest teraz cały w policzku. Potem Janek go pocałował w szyję, a raczej musnął ją delikatnie wargami. I uciekł twarzą, jakby przestraszony, i w ruchu tym była kokieteria. Emil przemknął mu wargami tuż koło ust. Tak to trwało może kwadrans: nie całując się, dotykali się nawzajem wargami. Nie mogło być chyba subtelniejszej radości dotyku; ich naskórki unosiły się w powietrzu, oderwane od ciała.

Janek myślał:

– Jestem nadzwyczajny również dlatego, że potrafię sobie przeczyć w poglądach i uczynkach, pozostając konsekwentnym.

Emil myślał:

– Można od tego zdechnąć. (Sformułowanie nadchodziło o wiele później, o ile w ogóle nadchodziło).

W końcu dali temu spokój. Emil odczuwał strach i opór przed posuwaniem się dalej, Janek – ani strachu, ani oporu. Po prostu przestał dlatego, że Emil przestał.

Siedzieli milcząc, zanurzeni w zapachu kobiety, która stąd odeszła. Emil zaczął wydobywać pomału historię swoich wakacji, ale zauważył, że Janek jest zmęczony. Potem próbował

mówić o Russellu⁵⁰ i nazwał go Chrystusem intelektualizmu, ale Janek był coraz bardziej zmęczony, i wtedy sam, znużony, opadł.

Komary latały dookoła nich. Drzewa były bardzo wysokie. Sięgały aż do łuny nad miastem.

Wstali. Gdy znaleźli się w rytualnym miejscu, w którym żegnali się zawsze, podali sobie ręce. Oddalali się teraz w przeciwnych kierunkach i wciąż obracali głowy za siebie i patrzyli na siebie. To było też rytualne.

Gdy Emil znikł za rogiem, zaczął biec i biegł tak aż do domu. Odczuwał niezrozumiały niepokój i wiedział, że jutro albo pojutrze zrozumie go. Tak było zawsze. Myślał zbyt wolno i dlatego był szczęśliwy, że umie pisać. Udawały mu się czasem cięte odpowiedzi, ponieważ dużo czytał. Ale nie mógł prowadzić rozmowy, której przedtem nie obmyślił szczegółowo. Dlatego w towarzystwie częściej milczał, rzadziej zaś mówił: krótkie, przemyślane i mądre na ogół rzeczy. (To było wtedy, gdy mu nie zależało na tym, by go miano za idiotę). Tylko z Jankiem mógł sobie pozwolić na improwizowanie, na podejmowanie i kończenie myśli powstałych przed paru godzinami.

Więc biegł aż do domu i wydawało mu się, że wyładował w tym biegu niewiadome. Ale w domu okazało się, że tak nie jest.

Gdy wszedł do swego pokoju, zastał kurę na zimno, chleb z

⁵⁰ *Russell, Bernard* (1872–1970) – brytyjski filozof, matematyk i logik, a także działacz polityczny i społeczny, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury (1950); jeden z najbardziej aktywnych intelektualistów swoich czasów, liberał, socjalista i pacyfista; krytykował tradycyjną moralność w zakresie życia rodzinnego i seksualności. [przypis edytorski]

masłem i dwie pomarańcze. Poczuł, że jest bardzo głodny, kurę złapał rękami i ręce mu się trzęsły, gdy obierał pomarańcze. Potem położył ołówek i papier przed sobą, co nie było jego zwyczajem. Wiedział, że musi coś napisać, ale myśli jego krążyły dokoła miejsca, którego nie widział; czuł opór i strach, jak wtedy w parku, z Jankiem. Gdy się rozbierał, ciskał swoją garderobę szczególnie daleko, po różnych częściach pokoju. A potem położył się i patrzył uporczywie w sufit, przez który było widać gwiazdy.

Myśli przechodziły koło niego, jak duchy. Jedna stanęła nad jego łóżkiem i pochyliła się. Rozmowa o pewnej młodej wiolonczelistce, która miała właśnie mieć koncert.

Janek powiedział:

– To będzie strasznie trudne do zniesienia, gdy ona będzie miała taki duży instrument między nogami.

Teofil, który był hrabią, po serii nerwowych tików zapytał:

– Jaki ona tam instrument będzie miała?

– Wiolonczelę.

– Co to jest?

Janek wykonał kilka ruchów, oznaczających poruszenia smyczkiem i mogących, od biedy, oznaczać co innego, bo nie bardzo wypadły.

– Więc po co panowie tam idziecie?

Wiolonczelistka była ładna i grała tak, że to nie przeszkadzało na nią patrzeć. Zresztą Emil myślał o czymś innym. To, co zobaczył, poza śmiesznością jej pozycji, było dziwne i poniosło

go.

Obejmowała całym ciałem łagodnie wygięty instrument, którego szyja leżała na jej ramieniu; obejmowała go nogami, ruchami rąk. Kołysała się wraz z nim, poddająca się melodiom, które wychodziły z niego, które wywoływała. Musiała czuć dotyk rączki wiolonczeli na policzku. Było to dziwne, podobne do czegoś, co widział, co było ładne i niepokojąco dwuznaczne: *Łabędź i Leda*⁵¹ Leonarda.

W nocy miał sen. Długimi korytarzami gonił nagą kobietę. Odległość między nimi nie zmniejszała się. Zaczynał odczuwać znużenie. Ona znalazła się w korytarzu bez wyjścia. Myśli: „Nareszcie mam ją”. Ona klęka. Cały czas jest obrócona do niego plecami, dlatego nie widać, czy śmieje się, czy płacze. Nagle strach i boi się do niej podejść. Wtem on odwraca głowę. Ma twarz Janka.

⁵¹ „*Łabędź i Leda*” Leonarda – *Leda z łabędziem*, obraz Leonarda da Vinci ilustrujący mitologiczną opowieść o żonie króla Sparty uwiedzionej przez Zeusa, który przybrał postać łabędzia; dzieło zaginione w XVII w., znane ze szkiców i kopii. [przypis edytorski]

Mały Emil

Emil nie lubił przymusu. Wietrzył go wszędzie i gdy mu się tylko zdawało, że go czuje – wierzgał jak koń. Wykraczało to daleko poza to, co się nazywa nieposłuszeństwem.

Najczęściej, gdy mu nie dawano spokoju, wchodził pod łóżko i trzeba go było stamtąd wyciągać laską ojca. W krańcowym wypadku zamykał się w klozecie, i mama, i kucharka namawiały go godzinami, by zechciał wyjść. Ale on wiedział, że jeśli wyjdzie, to go zbiją, i że im dłużej siedzi, tym bardziej go będą bili. Wtedy oglądał na ścianach magiczne znaki i obrazy, którymi, jak ludzie pierwotni jaskinie, pokrywał klozet, i gryzł palce ze złości, strachu i zdenerwowania. W końcu mówił:

– Mamo...

– No co?

– Jeśli ja wyjdę, to nie zbijesz mnie?

– Nie. (Wiedział, że to nieprawda).

– Na pewno?

– Na pewno. (Wiedział, że to nieprawda).

– I nie pójdę jutro do szkoły?

– Nie pójdziesz. (Wiedział, że to nieprawda).

I nie otwierał.

Za drzwiami matka krzyczała. On czekał, aż przyjdzie ojciec, pan z długą brodą i niebieskimi oczami, który nie pozwalał go bić, ale interesował się nim zbyt mało.

I zdarzyło się raz, gdy miał siedem lat i był w drugiej klasie, że ojciec wyjechał do Paryża na zjazd bakteriologów. Siedział w klozecie już od szesnastu godzin, gdy wyważono drzwi; siedział w kącie, na ziemi, blady, ze zlepionymi włosami opadającymi na czoło. Nie poruszał się, gdy weszła matka, pokojówka Janka i stróż Antoni. I nie zbito go wtedy po raz pierwszy, bo matka zobaczyła jego półobłąkane oczy, między opadającymi włosami, jak oczy zwierzęcia między liśćmi.

Bona⁵² zaprowadziła go do łóżka. Leżał w półmroku, bo bał się ciemności. Lubił widzieć zarysy mebli, bo były punktem zaczepienia. W ciemności czuł się jak w dużej wodzie i bał się zanurzyć w sen. Trzymał się kurczowo świadomości. Wydawało mu się, że gdy ją straci, umrze. Czuwając tak, patrzył na mlecznobiałe okno i widział na nim olbrzymią nienawiść do matki i strach o nią.

I zabijał matkę wiele razy wszystkimi kuchennymi nożami, jakie pamiętał: począwszy od tego do krajania mięsa, a skończywszy na małym do obierania owoców; i siekierą od węgla też. Potem wstał, była już dwunasta, i poszedł w długiej, białej koszuli do jej sypialni. Ona już spała, a on słuchał, czy oddycha, czy nie umarła. Zobaczył, że żyje, i poczuł nagle, że jest zmęczony.

Powoli znikł – jedyny i straszny – obowiązek i przymus czuwania, który sprawiał, że źle sypiał po nocach. Sen wypęłził

⁵² *bona* (daw.) – wychowawczynie małych dzieci w zamożnych rodzinach. [przypis edytorski]

cicho z boku jak czarny, miękki wąż.

Drgnął jeszcze raz.

„Czy ja jeszcze myślę?”

Myślał o wspaniałych lokomotywach, które odjeżdżają.
Potem usnął.

Gdy ojciec przyjechał z Paryża, zaprowadzono Emila do pewnego młodego docenta neurologa, który nie był głupi.

Lekarz rozmawiał najpierw z matką, a Emil siedział w poczekalni i miał tremę.

Czekanie przyprawiało go zawsze o lekki ból brzucha i potrzebę oddania moczu. Gdy pewien wujcio robił przed nim stracha i mrużąc, zbliżał się powoli do niego, nie znosił tego zbliżania się. Podbiegał do tego, kogo się bał, aby już szybko był z tym koniec. I zrobiłby to samo, gdyby nawet wiedział, że to jest śmierć (zresztą w tym czasie uważał, że jest nieśmiertelny). Tu tkwiło źródło jego przyszłej niemożności czekania, gdy umawiał się z kobietami, i przymus zbliżania się do tych, na które czekał.

Po chwili mama siedziała w poczekalni, a Emil na dużym fotelu przed panem o przezroczystych oczach i wąskich ustach. Pan trzymał papierosa pomiędzy długimi palcami i patrzył w okno.

– Czy wiesz, dlaczego cię mama tu przyprowadziła?

– Pan jest doktor i ja nie jestem chory.

– Nie jesteś chory. Ale czasem doktorzy pomagają dzieciom i matkom, gdy matki mówią, że dzieci nie są grzeczne i gdy dzieci

nie umięją być grzeczne.

Neurolog zgasił papierosa.

– Nie chcesz chodzić do szkoły, prawda?

– Nie chcę.

– Czy bawisz się z chłopcami w parku?

– Czasem.

– Bawisz się w zbója i policjanta?

– Bawię się.

– Kim lubisz być, zbójem czy policjantem?

– Lubię być policjantem... ale jestem zbójem.

– W co się bawisz jeszcze?

– W kolej. U nas w domu.

– Z kim?

– Sam albo z Fredkiem. Główna stacja jest koło pieca.

Emil zaczerwienił się, bo uważał, że powiedział to niepotrzebnie. Mając lat siedem, czuł już, jak należy postępować z lekarzami.

– Czy jesteś silniejszy niż ci chłopcy, z którymi się bawisz?

– Fredek jest słabszy.

– Twoja mamusia powiedziała, że nie będzie cię więcej biła.

Mamusia jest nerwowa i robi czasem takie rzeczy, których nie chce robić. Ty robisz zresztą to samo. Wiesz o tym i wiesz też, że ona cię kocha.

Emil nie odpowiedział.

– Czy w szkole jest ci przyjemnie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo muszę...

– Co musisz?

– Tam chodzić.

– Wcale nie musisz chodzić do szkoły, ale gdy ci wytłumaczę, zrozumiesz, że tak trzeba i że tak jest dobrze. I będziesz sam chciał.

– Jak ja zrozumieć, to będę musiał. Nie chcę rozumieć... i nie chcę musieć... i chcieć też nie.

– A gdy się bawisz?

– Samo się bawi. Jak chcę i muszę, to nie mogę.

Teraz neurolog po raz pierwszy popatrzył na Emila. Opuścił powoli swoje przezroczyte oczy i jego usta stały się jeszcze bardziej wąskie. Przypomniał sobie dwa nazwiska: Ludwig Klages i Theodor Lessing⁵³. Podszedł do dużego fotela obitego skórą. Emil był tak mały, że poręcz fotela sięgała dużo wyżej niż jego głowa. Dlatego neurologowi było nieco trudno pogłaskać go po głowie.

W tym czasie Emil był zakochany w pewnej dziewczynce, z którą chodził do szkoły i która nazywała się Zosia. Na pauzie

⁵³ *Ludwig Klages i Theodor Lessing* – *Ludwig Klages* (1872–1956), niem. filozof, psycholog i grafolog oraz *Theodor Lessing* (1872–1933), niem. filozof pochodzenia żydowskiego, zamordowany przez sympatyków nazizmu, na podstawie wypowiedzi Nietzschego rozwinęli filozofię życia: antyintelektualną i antycywilizacyjną, największą wartość przypisującą „duchowi”, spontaniczności i filozoficznej sprawności. [przypis edytorski]

bawiono się w zabawę, podczas której kawalerowie wybierali sobie damy. I Emil nigdy nie wybierał Zosi.

Po południu, przy zestawianiu pociągu, gdzie wagonami były pudełka, zdarzało się, że oglądali sobie z Fredkiem jądra i obmacywali pośladki. Mieli czerwone uszy i byli nie bardzo przytomni. Zawsze jednak słyszeli, jak nadchodziła bona.

Fredek umiał się dobrze bawić, ale był godny pogardy. Nie umiał zatrzymywać moczu i zanim zdołano cośkolwiek zrobić, miał mokre majtki. Bona biła go za to bardzo, ale to nie pomagało. W takich chwilach Emil patrzył z uwagą na jego twarz, tak jak patrzył na glisty w parku. Widział, jak marszczy mu się czoło, jak kąciki ust opadają w dół, jak zaczyna płakać. Wtedy bona biła Fredka, trzymając go za kołnierz, i mruzczała z pasją.

– Nie rycz, bo cię zatłukę.

Fredek zwisał jak worek. To było bardzo przyjemne i interesujące.

Pewnego razu w szkole, gdy Zosia nie napisała zadania, a nauczycielka zaczęła krzyczeć, zdarzyło się Zosi coś podobnego jak Fredkowi. Dzieci udawały, że nie wiedzą, o co chodzi, tylko jeden Lolo, dureń, powiedział na głos:

– O, leje się coś.

Emil zbladł prawie tak bardzo, jak wtedy w klozecie, zrobiło mu się niedobrze. Pani wyprowadziła Zosię na korytarz; za chwilę Emil wyszedł na podwórze i wymiotował długo pod pięknym kasztanem.

W trzecim oddziale⁵⁴, w rok później, zaszło pewne zdarzenie, które zadecydowało w pewnym sensie o przyszłości Emila.

Temat zadania szkolnego: „Opisać wycieczkę”.

Przez piętnaście minut Emil nie wiedział, co pisać (bo nie był nigdy na wycieczce), i myślał o różnych rzeczach, które nie miały związku ze szkołą: o zagryzaniu kur; o kimś, kto gonił go w ciemnym przedpokoju, i czy to był sen, czy nie; o morzu i o tym, jak zrozumiał, że wiatr wiejący z boku w żagle może pchać okręt naprzód (to wytłumaczył mu ojciec). Postanowił pisać o morzu, o jechaniu okrętem, bo uważał, że to też była wycieczka. Pisał: „...albatrosy wrzeszczały i leciały pod niebem, wieczorem gwiazdy podnosiły się i opadały i niebo się kiwało”. Wtedy przebiegł go dreszczyk, jak mała mysz, wzdłuż kręgosłupa. Nacisnęło mu coś lekko oddech i serce, zęby zaczęły mu szczekać.

Widział dokładnie i pamiętał dokładnie, jak kołysał się okręt, jak ojciec mu tłumaczył:

– To zdaje się tak, widzisz, że księżyc jest raz z jednej strony, raz z drugiej strony masztu, lecz się nie porusza, przynajmniej porusza się dużo wolniej.

Ale na złość sobie i temu, co wiedział – a było to wspanialsze niż odkrycie możliwości manewrowania żaglami – dopisał: „Niebo wahało się i niebo kiwało się”.

Na drugi dzień tak zwana pani przyniosła poprawione zadania

⁵⁴ oddział (daw.) – klasa w szkole podstawowej. [przypis edytorski]

i powiedziała:

– Emil, masz swój zeszyt. Albatrosy nie wrzeszczą, i to nie jest ładne wyrażenie. A niebo nie może się kiwać.

Emil patrzył na nią i był czerwony. Mruknął:

– No, to co?

Wtedy ona też poczerwieniała i przestała mówić. Wczoraj czytała po raz pierwszy Rimbauda⁵⁵*Statek pijany* i Verlaine'a⁵⁶*Pieśń jesienną*. Została nauczycielką niedawno i starała się jeszcze rozumieć pewne rzeczy. Dlatego dodała:

– A może odpisałeś? Może słyszałeś, jak czytał ktoś coś podobnego? Byłoby ładnie, gdybyś pamiętał.

To było nieoczekiwane. Coraz więcej gorąca napływało mu do twarzy i zasłaniało oczy. Zdawało mu się, że ma głowę zanurzoną we krwi.

Lolo szepnął cicho do Zosi:

– Słyszysz, jak on zgrzyta zębami? Mój brat też tak robi w nocy.

Emil miał o trzy lata młodszego brata. Pewnego razu ojciec zawołał go i powiedział:

– Wiesz Emil, będziesz miał brata albo siostrę.

⁵⁵ *Rimbaud, (Jean) Arthur* (1854–1891) – francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, wybitny przedstawiciel symbolizmu. [przypis edytorski]

⁵⁶ *Verlaine, Paul* (1844–1896) – francuski poeta, zaliczany do tzw. poetów wyklętych, wybitny przedstawiciel symbolizmu. W latach 1871–1873 w burzliwym związku z młodym poetą A. Rimbaud, dla którego porzucił żonę i syna. [przypis edytorski]

– Kiedy?

– Dziś albo jutro.

– A kiedy ją będę widział?

– Za kilka dni.

Wtedy Emil poszedł do klozetu i zaczął się modlić.

Ponieważ chciał mieć brata, a był głęboko przeświadczony o przewrotności Pana Boga, mówił:

– Panie Boże, ja chcę, żeby była siostrzyczka. Nie brat. Panie Boże itd. – tak Go zaklinał i prosił. Potem zrobił w ścianie dziurę gwoździem na znak tego zdarzenia.

Cała ta historia nie obchodziłaby go teraz, gdyby nie musiał chodzić z boną tego małego i trzymać wózka ręką. To chodzenie na spacer było jeszcze nudniejsze niż siedzenie w domu. Nuda drażyła go jak wiercenie zęba u dentysty, zjadała go i męczyła. Była w nim otchłań nudy i senności, niezaspokojonej, przerosłej samoobserwacji, która jak głodne zwierzę szukała zdarzeń, aby je pożreć.

– Mamo, co ja będę robił? – gdy go ubierano w paletko.

– Pójdiesz się bawić.

– W co?

– W klasy... W co chcesz...

– Z kim? Ja nie lubię w klasy...

– A czego ty chcesz?

– Ja nie wiem, mnie się nudzi.

W szkole dostawał wymiotów, w domu chodził po pokojach, wykręcał się od robienia zadań, od lekcji gry na fortepianie,

od lekcji francuskiego. Bolała go głowa i oczy. Czasem nalewał wody do wanny i robił okręty z papieru. Częściej bawił się w kolej, bo pociągi, które odjeżdżają, które zabierają ludzi, które znikają, były niepokojące i pociągające.

Gdy mały Staszek zostawał w domu i on miał iść z Polą na spacer, matka dawała mu pieniądze na peronówkę⁵⁷ i szedł na dworzec. Stał na peronie, oglądał ruch i przyjazdy, oglądał spocone lokomotywy.

Przed snem zaglądał pod łóżko, czy tam ktoś nie leży. W nocy sypiał źle, uczepiony myślenia: świadomości, która była śmiesznym, lekko świecącym korkiem, pływającym w olbrzymiej ciemnej wodzie, rozpruwającym, jak dziób statku, niewiadome i czarne morze, zamykające się znów, natychmiast i wciąż na nowo, w tyle, za śrubą. W końcu zanurzał się z zaciśniętymi zębami w sen i przepływał w nim na drugą stronę nocy, jak w czóźnie.

W tym czasie czytał już książki. Przeszedł szybko przez Verne'a i Maya do powieści kryminalnych. Potem czytał Londona. Kochał Indian, detektywów, włamywaczy i psy. Ale nie chciano mu kupić psa, a zmartwienie i poczucie nieszczęścia z tego powodu były większe niż to, które by miał jego ojciec, gdyby stracił katedrę na uniwersytecie. Zwariowany chodził za psami na ulicy, całował je i lizał. Mówił do nich pieszczotliwie i władczo, jak do Pana Boga:

⁵⁷ *peronówka* (pot.) – bilet peronowy, uprawniający do przebywania na peronie, ale bez prawa podróży koleją. [przypis edytorski]

– Mój kochany, mój kiciuniu, chodź do mnie, już w tej chwili, chodź, przyjdź do mnie, miły – tak mówił do pewnego małego i czarnego.

To było świństwo, że mu nie kupiono psa.

W tym mniej więcej czasie przyszedł po raz pierwszy niewołany do ojca, do gabinetu. Wszedł tam na palcach, mimo że ojciec miał na uszach słuchawki radiowe, pod słuchawkami filcowe poduszeczki, pod poduszczkami watę, zanurzoną w oliwie. To wszystko po to, aby nic nie słyszeć. Stał przy mikroskopie, na biurku leżał stos otwartych książek. Poczł, że ktoś wszedł. Po chwili zdjął słuchawki z uszu i był zdziwiony... Potem wyjął watę.

Emil zaczął dyplomatycznie:

- Zdaje się, że ty jesteś mądry.
- Zdaje się, że umiem niektóre rzeczy.
- Więc czy ja mogę się o coś zapytać?
- Możesz.

I zaproponował, po wielu omówieniach, stworzenie Instytutu Badania Trzasków Nocnych, które jego zdaniem „są, a nie powinny być”.

Ojciec jego Filip nie był już młody, gdy Emil się urodził, i teraz miał siwą brodę, jak Miecznikow, Pasteur, Ehrlich, Wassermann i Nicolle⁵⁸. Był w życiu bardzo zajęty kobietami i

⁵⁸ *Miecznikow, Pasteur, Ehrlich, Wassermann i Nicolle* – słynni mikrobiolodzy XIX w. i 1. poł. XX w. [przypis edytorski]

zagadnieniem przemiany gatunków bakterii. Popatrzył na Emila z wielkim zdziwieniem. Potem powiedział:

– Pogadamy o tym dokładnie wieczorem. Chcesz, pokażę ci teraz króliki.

Wziął Emila za rękę i poszli powoli przez korytarz, na którego końcu była pracownia: tam przebywały króliki, szczury i myszy. Ojciec wziął jednego za uszy.

– Patrz, teraz mu wbiję igłę do serca. To go będzie trochę tylko bolało. Potem znów będzie zdrowy. Przytrzymaj mu nogi.

I gdy igła doszła do serca, królik zrobił zdziwioną minę, przestał się poruszać i strzykawka napełniła się krwią.

Gdy Emil miał lat jedenaście, wrzeszczące albatrosy i kołyszące się niebo spały, ukryte głęboko, a Emil pisał powieść miłosno-kryminalną o Billu i Ellen, ze sceną miłosną pod latarnią, sceną, którą uważał za świetną. Fredek, który specjalizował się w układaniu rebusów, podziwiał go i codziennie przepisywał na czysto pięć stron. Pismo Emila było zupełnie nieczytelne, a gdyby nawet było inne, toby mu się nie chciało przepisywać. Było to za panowania kucharki Stefanii II, która była pierwszą i jedyną czytelniczką powieści. Z początku, a może i potem też, nie chciała wierzyć, że Emil jest jej autorem, dopominała się jednak co wieczór o dalszy ciąg. Mniej więcej o jedenastej wieczorem Emil przynosił ciąg dalszy. Stefania czytała na głos wolno i uroczyście. Gdy dochodziła do scen miłosnych, ściszała głos, robiła głupkowane miny, patrzyła spod

oka na Emila, który przybierał nic niewiedzący wyraz twarzy.

Na następny dzień Fredek pytał:

– No i co? Czytała? I co mówiła?

W tymże czasie wyrzucono Emila ze szkoły za opowiadanie nieprzyzwoitych dowcipów. Pewien chłopiec wygadał wszystko matce, matka poszła do dyrektora i wtedy zawołano Emila do kancelarii. Tam spisano protokolarnie wszystkie dowcipy, z wszystkimi nieprzyzwoitymi wyrazami, i trzech głównych winowajców podpisało protokół. Emilowi z trudnością przyszło wypowiadanie pewnych słów w obecności dyrektora i wychowawcy klasy.

Emil przestał chodzić do szkoły, mimo że dzięki wpływom ojca mógł do niej powrócić. Uparł się i powiedział, że nie chce widzieć tego kretyna, dyrektora. Filip był też o dyrektorze tego samego zdania, ale mama przeprowadziła rewizję wśród rzeczy Emila (była ładna, nerwowa, nierozsądna i dumna) i znalazła ową powieść, którą spalono nie mniej uroczyście niż dużo wcześniej dzieła Giordana Bruna⁵⁹.

Filip chciał mieć spokój i dlatego nie wtrącał się do tych wszystkich spraw, mimo że Emil na niego liczył. Natomiast pewnego razu, w pracowni przy królikach, powiedział:

– Możesz wiedzieć, co chcesz, ale jest jeszcze niestety zbyt wielu idiotów, aby można było mówić wszystko, co się myśli. A ty nic sobie z tego nie rób.

⁵⁹ *Bruno, Giordano* (1548–1600) – włoski filozof przyrody, panteista, humanista; uznany za heretyka i spalony na stosie przez inkwizycję. [przypis edytorski]

Ale Emila długo jeszcze męczyły sprawy wywleczone z niego na widok publiczny, jak u rzeźnika, w jatce, flaki, i wszyscy mogli widzieć i macać to, co było jego własnością, którą rozdzielał według uznania i chęci.

I czuł się tak osaczony, że korzystał częściej niż zwykle z dwóch miejsc, w których był bezpieczny: z klozetu i łóżka.

Klozet był miejscem tradycyjnym, rytualnym i samotnym: kąt dla psa, gdy chce zjeść swoją kość, miniaturowa klinika popsutych lalek, ojczyzna jedenastoletniego pustelnika. Można by na jego ścianach odcyfrować całe dzieciństwo Emila, zeskrobując delikatnie farbę i pokost, docierając do coraz to głębszych warstw tynku. Spały tam daty ważnych zdarzeń, rysunki anatomiczne, tytuły przeczytanych książek.

Łóżko – sen, śmierć, miłość, narodziny... zwłaszcza gdy się może kołdrę naciągnąć na głowę.

Przyszły noce, kiedy ciemność zaczęła się żarzyć, kiedy mówił do siebie i zażądał od siebie:

– Ja chcę dziewczynę, ja chcę dziewczynę, daj mi, daj już. Albo Jankę, co nosi krótkie suknie, albo Hełę, co nie nosi stanika.

(To były kuzynki: styl jego monologu nie zmienił się od czasu przemówień do Boga i do psów).

Słowa opadały na noc jak na gorącą blachę, ciemniały, kruszyły się, i w końcu zostawał z nich popiół. Znajdował tylko swoje ręce i swoje nogi.

Burza nadchodziła powoli, nadciągała z głębi jego dwunastu

lat, które dojrzewały, pęczniały, zaokrąglały się, jak wolno nadymana piłka nożna; i pękły.

Przeczytał *Jana Krzysztofa*, który uderzył w niego, dźwięczał w nim długo, rezonował, potem zaczął się staczać w dół, jak lawina, pociągając za sobą niepokój, obłąkane sny.

I stało się, że pewnej nocy runęli bogowie, już dawno nadpsuci i nadgnili, tak że jego przerażenia nie powodował sam fakt upadku, lecz to, że odbył się on z tak małym hałasem. Została po nich w jego świecie duża wyrwa i olbrzymia pustka, i zobaczył, że jest sam wszechwiedzący, samotnie wszechwiedzący, silny i słaby, zawieszony jak gwiazda w próżni.

Szczękając zębami, wyszedł z łóżka i chodził po pokoju, który wydawał mu się nowym światem, tym samym, a jednak zupełnie innym.

Zobaczył, że nie jest sobą, że coś obcego wdarło się w niego i że jest ich dwóch: on i on.

W strachu i wściekłości bełkotał:

– Tylko ja...?

– Tylko ty...?

Pomału podniosły głowę krzyczące albatrosy i kołyszące się niebo, i zobaczył swoją przeszłość, która posuwała go wolno, przymykając mu oczy, na to miejsce straszne i urzekające, na brzeg przepaści, gdzie stał po raz pierwszy twarzą w twarz z przestrzenią. I modlił się do Boga, którego nie było, i modlił się do siebie, nie wierząc, że to będzie jego przeznaczeniem.

Wyrwał dwie kartki z zeszytu i pisał:

„Postanawiam dużo o sobie wiedzieć. Chcę wiedzieć to, co będę przeżywał za dwa lata, to, co można w ogóle przeżywać. Nie chcę tracić czasu na przeżywanie tego, co zostało opisane. Chcę poznać się, wiedzieć z góry jakie... i robić takie rzeczy (przekreślone wyrazy), czuć takie rzeczy.

Nie chcę tracić czasu, chcę zyskać na czasie przez wiedzenie o tym, co może być”.

Rozpoznał w nocy swoje mieszkanie, idąc boso wzdłuż korytarza, w stronę królików. Tam, grzebiąc długo w ciemności, znalazł flaszkę z eterem i wrócił do łóżka. Nalał eteru na chustkę i wdychał go powoli.

Ciało jego unosiła woda, wokół krążyły gwiazdy.

Joanna II

.....
Ten drugi pojechał na wakacje. J. został sam, więc miałam łatwą robotę. Z początku był bardzo nieśmiały, ale już przy trzecim spotkaniu zażądał, aby mu pokazywać figury. W pierwszej chwili miałam ochotę powiedzieć mu »wynoś się«, ale potem, nie wiem sama dlaczego, pokazywałam mu różne.

Raz przyniósł fotografie porn. I zaproponował, abyśmy spróbowali naśladować. Właściwie zaczęło się od grania, bo u mnie w pokoju jest rozklekotane pianino. Ja się nie znam na muzyce, ale on gra b. dziwnie i ładnie się przy tym rusza. Nie wiem sama, czy ruchy, czy gra działają na mnie. Poza tym przy stosunku zachowuje się też dziwnie. W połowie przerywa i nie chce dalej, aż ja nie wykonam najdziwaczniejszej figury. Czasem mnie to b. boli.

Nie wiem, jak on mnie opętał, bo to nie jest ani bujanie się w nim, ani go nie kocham. Czasem przerywa, aby podejść do fortepianu. Nie wie, że dzięki temu mnie gra jego podnieca, bo mi przychodzi na myśl tamto. To jest błędne koło, z którego nie ma wyjścia.

Ostatnio już przychodzi ze mną tylko spać, a ja sobie przypominam, jak chciałam, żeby przychodził tylko po to. Ja myślałam, że to będzie tylko »na trzy dni«, a stało się inaczej. On przychodzi do mnie jak do kurwy. Sama nie wiem, co piszę,

taka jestem ostatnio roztrzęsiona. Więc muszę powiedzieć, że traktuje mnie jak psa. Czym bardziej mnie tak traktuje, tym ja bardziej jestem gotowa więcej rzeczy dla niego zrobić.

Czasem obiecuję sobie, że go wyrzucę, że go w ogóle nie wypuszczę. Ale ani to, ani tamto.

Stosunek z nim nie sprawia mi ani połowy takiej przyjemności, jak z P. Nie wiem, dlaczego robię to wszystko, czego on chce.

Aha, muszę opisać, co działo się wczoraj. Mieliśmy normalny stosunek i J. miał dziwne oczy. W pokoju było ciemno, okiennice były zamknięte i J. nie kazał robić światła. Potem podszedł do lustra, aby się przyczesać, a ja zostałam na tapczanie. Był nagi. Jest b. brzydko zbudowany i chudy. Nie rozumiem, jak mogę się z tym pogodzić. I nagle z jego włosów zaczęły się sypać iskry aż na podłogę. Podszedł do mnie z miną czarnoksiężnika, dotknął mi sutki i też strzeliła iskra. Przestraszyłam się, wiem, że było jeszcze dużo iskiei, zwłaszcza tam, gdzie są włosy, i jego niebieskie oczy wyglądały fioletowo. Potem zaczął gonić jak wariat dookoła stołu i wykrzykiwać coś i gdzie dotknął fotela albo jakiegoś sprzętu, tam wylatywała iskra. Potem siadł nagi przy fortepianie i zaczął grać. To zrobiło na mnie wielkie wrażenie. Przerwał w połowie, a gdy ja spytałam, co to było, odpowiedział dwa słowa, z których zrozumiałam tylko pierwsze: Mefisto? Wyglądał naprawdę jak diabeł, gdy tak nago gonił po pok. Potem był zmęczony, położył się i zamknął oczy. Powiedział do mnie z zamkniętymi oczami:

»Przynieś swój pamiętnik. Ja nie jestem ciekawy, co tam jest, tylko...«. Nie pamiętam. Przyniosłam. Napisał: »Jan I, władca Joanny«. Powiedział: »Ma przyjechać mój kolega, muszę już iść«. Zapytałam go, który, czy ten Emil? Nie odpowiedział i poszedł.

Ja w ogóle nie wiem, co on robi, jak żyje. Pewno kłamał. Nie wiem, co zrobić. Zabić go czy co? Spytam małego k., w jaki sposób jest możliwe, żeby się iskry sypały z człowieka.

Komentarz: Mały k. to jest ojciec Emila. Dlatego nazywa się mały k., bo Joanna uważa, że jest podobny do kota.

Université Perverse

– Wtedy, kiedy ja przyjechałem, to było?

– Tak.

Emil czuł, że się dusi.

– I dlatego spóźniłeś się wtedy?

Janek patrzył niebieskimi, niewinnymi oczami. Milczenie pod ciśnieniem. Emil musiał głęboko oddychać co parę minut.

Powiedziano mu o tym, o czym już dawno wiedział; ale był oszołomiony, że tak było **na pewno**; a przepaść dzieli te dwa stopnie pewności.

– To musiało się tak skończyć.

– Wiem.

To było powiedziane głosem, który nie powstał w krtani; głosem brzuchomówcy. Myślał zawsze, że on „to” skończy, nie Janek.

– Ale dlaczego musiało być właśnie wtedy?

– Nie martwisz się, że było wtedy. Z całkiem innego powodu.

– Z jakiego?

– Nie gniewaj się, że będę przykry.

– Mów.

– Że ty nie możesz odgrywać tej roli, którą ja odgrywam.

– Nieprawda.

– Ja jeszcze nie skończyłem. Po prostu zmiana ról wytrąciła

cię z równowagi. A ty byłeś raczej predestynowany⁶⁰ do mojej roli. Gdyby było odwrotnie, to mielibyśmy również zmartwienie, ale odpowiadające naszym poprzednim stosunkom; łagodne zmartwienie.

Ciśnienie ustępowało jak powietrze z dziurawego balonu. Obaj odetchnęli głęboko.

– Co teraz będzie?

Janek uśmiechnął się i odpowiedział:

– Nic się nie zmieni. Będziemy się tak dalej spotykać jak dotychczas.

Oczywiście, że będą się spotykać, ale nie tak, jak dotychczas. To było skończone. Emil zaczął czarować, żeby choć odwrócić rolę.

Zachował dużo cech dziecinnych. Liczył tafle na chodniku. Bawił się, idąc ulicą, jak mu się nudziło, w kolej. (Sam był koleją). Przechodząc wzdłuż sztachet, przejeżdżał po nich patykiem, co robiło hałas podobny do jadącego motocykla. Dawało mu to pewien nieskażony, świeży obraz świata, naturalnie, gdy chciał go użyć. (Suknia tej pani ma wysypkę – mówił, gdy widział suknię z wypukłym nieregularnym wzorem). Gdy był zdenerwowany, żuł liście. (Dostaniesz promienicy⁶¹ – ostrzegął go ojciec). Więc teraz żuł liście, bo był zdenerwowany.

– Co teraz będzie? – powtórzył. Po chwili: – Ja wiem, co teraz

⁶⁰ *predestynowany* – przeznaczony. [przypis edytorski]

⁶¹ *promienica* – przewlekła choroba zakaźna, wywoływana wnikiem bakterii promieniowców przez drobne zranienia jamy ustnej. [przypis edytorski]

będzie. Dokładnie wiem. Ale nie chodzi o to. Ja pytam siebie, bo muszę się wewnętrznie urządzić jakoś i w żaden sposób nie mogę. Czy możesz mi coś powiedzieć o niej?

– Mogę. Ona jest miła i dość ładna kokotka. Ja się wobec niej czuję skrępowany i nieśmiały.

To kłamstwo – to była pokuta, a równocześnie przyjemność; nie uważał, żeby był nieśmiały wobec Joanny, a kłamanie sprawiało mu przyjemność. Zwłaszcza że tak długo mówił Emilowi prawdę. (Ale tylko jemu). Dzięki Joannie oswobodził się z ostatniego człowieka, który mu nie pozwalał być całkiem sobą. W nagłym przypiływie radości pocałował Emila w usta, i Emil pomyślał: „Do takich gestów jest się zdolnym tylko wtedy, gdy jest się już zupełnie obojętnym”. I nie miał racji. Obaj zaczerwienili się. Emil – bo wstydział się za Janka; Janek – bo wiedział, co myśli Emil.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.